GiLA-my

w numerze:

- *Cheerleaderki w GiLA*
- *O żywocie humanisty i inne spostrzeżenia*
- *Wielka siła małego ciała*
- *Viva Roma! Viva lingua Latina!*
- *Fotorelacja z otrzęsin*
- *Geekowie też czasami wychodzą na światło słoneczne! Copernicon 2018*
- *Idziemy po równość. Wszyscy.*
- *Fotorelacja z Halloween*
- *Dokąd prowadzi „rozrzutność". Czyli o plastiku słów kilka*
- *To zwykłe „lenistwo"? A może fobia?*
- *Walka w rytmie bębnów*
- *Here we go again!*
- *Fokstrot*
- *„Nic co ludzkie nie jest im obce"*

Od redakcji

Jesteśmy już w trzecim miesiącu roku szkolnego. W tym czasie wiele wydarzyło się w szkole i w Toruniu, m. in. powitaliśmy kolejny rocznik licealistów, a wśród nich wiele adeptek dziennikarstwa, które zasiliły szeregi naszej redakcji.

W wywiadach przedstawiamy nauczycieli łaciny i kultury antycznej − dr hab. Barbarę Bibik oraz dra Rafała Toczkę. Pozostając w klimacie antyku, prezentujemy fotorelację z otrzęsin, których motywem przewodnim była właśnie starożytność. Na łamach listopadowego numeru możecie też obejrzeć materiał zdjęciowy ze szkolnego Halloween. Szaruga za oknem przywodzi na myśl bieszczadzkie mgły, więc Zuzanna Sędziak, nasza redakcyjna felietonistka, wspomina swoje wakacyjne wędrówki. Z kolei z życia Torunia relacjonujemy m. in. Marsz Równości oraz Copernicon. Jak zwykle poruszamy też uniwersalne problemy − tym razem fobii szkolnej oraz zanieczyszczenia plastikiem. Dla zwolenników kultury recenzujemy głośne „Mamma Mia! Here we go again!", kontrowersyjny „Kler" oraz „Fokstrota".

Mamy nadzieję, że w tym trudnym jesienno-zimowym, a ponadto olimpijskim miesiącu, jakim jest listopad, lektura nowego numeru gazetki szkolnej będzie dla Was przyjemną odskocznią. Pamiętajcie, że do świąt pozostało już mniej niż 50 dni. Wraz z nimi, nadejdzie kolejny numer GiLA-my.

Zuzanna Kuffel

SPIS TREŚCI

Cheerleaderki w GiLA……...……...…….…….....3

O żywocie humanisty i inne spostrzeżenia……...……...…....4

Wielka siła małego ciała….....6

Viva Roma! Viva lingua Latina!……..7

Starożytne otrzęsiny 2018 ……...7

Otrzęsiny w obiektywie Patryka Szkuty…….….8

Geekowie też czasami wychodzą na światło słoneczne! Copernicon 2018 ……..…….9

Idziemy po równość. Wszyscy……..……....11

Fotorelacja z Halloween 2018…….……..12

Dokąd prowadzi „rozrzutność". Czyli o plastiku słów kilka……..……...13

To zwykłe „lenistwo"? A może fobia?.....……...15

Walka w rytmie bębnów……...…….17

Here we go again!.....19

Fokstrot…….20

„Nic co ludzkie nie jest im obce"……..21

Ścieżka dydaktyczna „Bieszczadzkie kontrasty"……..22

Magdalena Bródka

CHEERLEADERKI W GiLA

W ŚRODĘ NA SZKOLNYM TELEWIZORZE, NA PASKU PILNE POJAWIŁ SIĘ KOMUNIKAT: CHCESZ NALEŻEĆ DO ELITY? MARZYSZ O MACHANIU POMPONAMI? DOŁĄCZ DO CHEERLEADEREK!

Cheerleaderki to nieodłączny element personalny filmów i seriali o amerykańskich nastolatkach. W dzień meczu chodzą po szkole we wszystkim znanych strojach, budując atmosferę zdrowej sportowej rywalizacji i zachęcając do wspólnego kibicowania szkolnej reprezentacji. W Polsce obecność cheerleaderek nie jest zbyt rozpowszechniona, jednak w naszej szkole, z inicjatywy Moniki Mordawskiej, Zofii Anczewskiej, Pauli Wasilewskiej i Oli Kozakiewicz, pod czujnym okiem pani profesor Iwony Dylewskiej, właśnie powstał taki zespół. Udało mi się zamienić kilka słów z Moniką po pierwszym spotkaniu cheerleaderek.

Magda Bródka: Skąd pomysł na tę grupę?

Monika Mordawska: Tak naprawdę to trudno powiedzieć. Pomysł częściowo wziął się z doświadczeń na lekcji wychowania fizycznego, ale jest również wynikiem naszych przemyśleń pozalekcyjnych. Po prostu lubimy się, lubimy razem tańczyć, już kilkakrotnie nam to wychodziło, więc stwierdziłyśmy, że można by spróbować cheerleadingu.

Jakie są cele zespołu na ten rok szkolny?

Dobrze się bawić – to przede wszystkim. A poza tym nawiązać nowe znajomości, przyjaźnie, zebrać jak najwięcej dobrych wspomnień, ale też rozwijać swoje umiejętności.

Przez niektórych cheerliding nie jest uznawany za sport. Jakie jest twoje zdanie?

Ja uważam, że jak najbardziej jest. Ruszamy się? Ruszamy. Przecież o to chodzi. Czerpiemy też z tego korzyści fizyczne − poprawianie kondycji i spalanie kalorii − a przede wszystkim takie... duchowe – tworzenie przyjaźni, wspólne wyjścia, wyjazdy, treningi. To na pewno będą niezapomniane chwile.

Czy sądzisz, że z wprowadzeniem cheerleadingu mogą pojawić się w szkole inne trendy znane nam z amerykańskich z seriali? Na przykład szkolna maskotka, wszechobecne barwy szkoły i sportowy duch?

Uważam, że jest to bardzo prawdopodobne. I dopóki nie zechcemy całkiem przenieść Ameryki do Polski, może nam to wyjść na dobre.

Dlaczego warto być cheerleaderką?

Przede wszystkim dlatego, że jesteśmy bardzo sympatyczne. A tak poważnie − jest to bardzo wartościowe doświadczenie, nie w każdej szkole można spróbować cheerleadingu. Wydawałoby się, że w GiLA też jest to niemożliwe, a jednak właśnie odbyło się nasze pierwsze spotkanie. Każda inicjatywa, zwłaszcza taka z pozoru dziwna i nierealna, jest dobrą inicjatywą, bo za tym idzie jakiś rozwój, jakieś zmiany. Nie wiemy jeszcze, jakie to będą zmiany, ale na pewno okażą się ciekawe.

Źródło: Internet

Marta Rogulska

O żywocie humanisty i inne spostrzeżenia

„Kiedy chcę porozmawiać z kimś inteligentnym, czytam św. Augustyna albo rozmawiam z moją żoną". Wywiad z dr. Rafałem Toczką, nauczycielem łaciny w Liceum Akademickim.

Marta Rogulska: Jest Pan magistrem filozofii i filologii klasycznej. Skąd wzięły się u Pana takie zainteresowania?

Rafał Toczko: Przypadkiem… to są rzeczy, które się dzieją przypadkiem.

Jakie Pan miał plany na studia?

Chciałem studiować wśród inteligentnych ludzi, którzy nie są zainteresowani rozwojem cywilizacji naukowo-technologicznej, tylko rozmawiają na interesujące tematy. Inteligentnych w konkretny sposób. Takich, którzy posiadają dar wysłowienia się, układają zdania, które mnie nie rażą. Jakkolwiek pretensjonalnie brzmi to dla mnie dzisiaj, takie były wtedy moje motywacje.

I znalazł Pan ich na studiach filozoficznych?

Poszedłem na MISH [Kolegium Międzyobszarowych Indywidualnych Studiów Humanistycznych i Społecznych], myślałem, że na takich studiach będzie na to większa szansa, niż na przykład na Akademii Ekonomicznej [śmiech]. Wiedziałem, że coś będę w życiu robił, ale nie wiedziałem jeszcze dokładnie co. Bardzo interesowała mnie filozofia, ale w liceum miałem ją tylko przez rok – z nauczycielką, która uczyła nas wyłącznie ze *Świata Zofii*; była to chyba jedyna książka filozoficzna, jaką przeczytała. Miałem świetnych polonistów, świetnego historyka i tak naprawdę chciałem zostać nauczycielem historii, ale rodzice mi zabronili. Są lekarzami i w związku z tym poszedłem na filozofię [śmiech].

Nie mieli problemów z filozofią?

Nie wiedzieli, że idę na filozofię, wiedzieli, że idę na MISH – a to nic nikomu wtedy nie mówiło, to był trzeci rocznik studentów tego typu w Toruniu. Był to drugi taki kierunek w Polsce, pierwszy istniał w Warszawie. Mogłem oczywiście wybierać różne zajęcia – trochę chodziłem na socjologię, trochę na archeologię. Na polonistyce studiowałem literaturę polską aż do romantyzmu, ale to było już za dużo. Okazałem się być jedynym chłopcem w całej 30-osobowej grupie i kiedy pani kazała czytać anakreontyki, czułem się trochę mobbingowany [śmiech]. Nie, to po prostu nie było dla mnie. Kiedy decydowałem się na studia w latach 90., nie było doradztwa zawodowego ani coachingu, nikt nie mówił o PKB, nie było smartfonów, nikt nie mówił „jest potrzebnych tylu a tylu informatyków". Panowało duże bezrobocie i ludzie po studiach humanistycznych robili bardzo różne rzeczy w bardzo dziwnych miejscach. Jedyne, co mniej więcej wiedziałem, to że chciałbym uczyć.

I dlaczego wybór padł na łacinę?

Studiowałem różne kierunki, ale na pierwszych dwóch latach studiów przede wszystkim czytałem T. S. Eliota i Ezrę Pounda, zwłaszcza ich krytykę literacką. Byli wykształconymi ludźmi, rządzili sceną literacką Londynu. Ich książki są świetnie napisane, ale też pełne odwołań do literatury antycznej,

Fot. Andrzej Romański

greki, łaciny, a ja tego nie rozumiałem i nie znałem. Chciałem postawić się w sytuacji człowieka, który rozumie, co do niego piszą wykształceni ludzie sprzed kilkudziesięciu lat; to właściwie było moje zadanie. Na drugim roku MISH-u poszedłem na historię literatury, greckiej i rzymskiej, tam uczył profesor Marian Szarmach. Przyjaźnił się z pewnym lekarzem z Elbląga, zasięgnął opinii o mojej rodzinie i kiedy przyszedłem na następne zajęcia, wziął mnie na rozmowę i powiedział – Ja będę pana uczył łaciny, pan będzie studiował u nas. No i poszedłem studiować, przez profesora Szarmacha w dużej mierze.

Na studiach chciał Pan przebywać z inteligentnymi ludźmi, jak wygląda sytuacja gdy uczy Pan w szkole? Czy młodzież chce się jeszcze uczyć łaciny?

Oczywiście, że tak. W GiLA są osoby, które tłumaczą łacinę na poziomie studenta 3. roku studiów. Klasy, które uczę teraz, wysławiają się niekiedy lepiej niż większość moich studentów.

I tak jest za każdym razem, kiedy uczy Pan łaciny?

Uczyłem też w innych szkołach i tam poziom był różny. Ale w byciu nauczycielem nie o to chodzi. Kiedy chcę porozmawiać z kimś inteligentnym, czytam św. Augustyna albo rozmawiam z moją żoną. Żeby zwiedzić Christ Church w Oksfordzie, nie muszę być turystą, mogę tam pojechać na konferencję i porozmawiać z profesorami. Spotykam się z ludźmi z całego świata o podobnych zainteresowaniach; to właśnie jest fantastyczne w mojej pracy – bliski kontakt z tą społecznością.

Poszedłem do szkoły, bo widziałem, jak łacina zaczyna umierać w Polsce i wydawało mi się, że swoją energią jestem w stanie to w jakiejś mierze uratować. Okazało się, że nie do końca, co jest dość melancholijnym doświadczeniem. W GiLA się akurat udało, ale w większości szkół nie mieliśmy takiego szczęścia. W szkołach, w których kiedyś uczyłem, wymiar godzin łacinnika został zredukowany z półtora etatu do 4 godzin.

Na studiach grał Pan w teatrze studenckim, Perpetuum Mobile. Był Pan nawet kilkukrotnie nagradzany…

Tak, ten teatr istniał przez 13 lat, do 2016 roku. Przekształcił się w obecnie funkcjonującą grupę Status quo, która w zeszłym roku brała udział chociażby w międzynarodowym czytaniu „Metamorfoz" Owidiusza.

Czy doświadczenie teatralne pomaga w byciu nauczycielem?

Pomaga, nie pomaga – niektórych taki sposób bycia może denerwować, ale doświadczenie na pewno pomaga oswoić się z tremą. Najważniejsze są rzeczy techniczne – operowanie głosem, oszczędzanie go, różne sposoby ekspresji słowa. Uważam, że większość humanistów pracuje ze słowem, a teatr jest do tego świetnym ćwiczeniem. Poza tym jest to znakomite doświadczenie towarzyskie, dobrze jest mieć konkretną rzecz, którą tworzy się z ludźmi, zawiązują się wtedy najciekawsze relacje. Oczywiście jest przy tym masa stresu, ale to też uczy radzenia sobie z nim. Jestem ogromnym zwolennikiem dwóch rzeczy – sportu i teatru. Nie mam dużo czasu na chodzenie do teatru, ale i tak wolę grać niż oglądać. Czasami gram w przedstawieniach w przedszkolu mojej córki, ale ona się tego wstydzi [śmiech].

Źródło: Internet

Laury teatralne dla klasyków

Studencki teatr **„Perpetuum Mobile"**, działający przy Katedrze Filologii Klasycznej UMK, zdobył pierwszą nagrodę – Bursztynową Kameę – za spektakl „Osły" Plauta na III Międzyuczelnianym Przeglądzie Teatrów Studenckich Filologii Klasycznej w Gdańsku. W Przeglądzie startowało 9 zespołów z Polski i jeden z Białorusi.

I miejsce w konkursie na najlepszą rolę męską zdobył **Rafał Toczko,** student międzywydziałowych indywidualnych studiów humanistycznych (IV r. filozofii i II r. filologii klasycznej), który w spektaklu „Osły" grał niewolnika Pachnidło.

Premiera spektaklu „Osły" odbyła się podczas IV Toruńskiego Festiwalu Nauki i Sztuki.

(ar)

fot. A. Romański

MAJ 2004

Anna Lorek

Viva Roma! Viva lingua Latina!

O nauczaniu języka łacińskiego opowiada pani profesor Barbara Bibik, która po przerwie znów ma lekcje w naszej szkole, w klasie 1dL. Jest jedną z dwojga łacinników w GiLA.

Anna Lorek: Dlaczego Pani zdaniem warto uczyć się łaciny?

Barbara Bibik: Dlaczego warto uczyć się łaciny? Bo to piękny język, bo warto w ogóle uczyć się języków. Łacina daje naprawdę dobrą podstawę do nauki innych języków. Uczy również logicznego myślenia... Ale przede wszystkim daje dostęp do wspaniałej literatury europejskiej.

Jak zaczęła się Pani przygoda z łaciną?

To było w liceum. Chodziłam do nietypowej klasy, bo do klasy klasycznej. Miałam 4 godziny łaciny i 3 godziny greki tygodniowo plus kulturę antyczną. Tematy, w które nas wprowadzono, okazały się na tyle fascynujące, że zamiast pójść na prawo, jak początkowo planowałam, zdecydowałam się na filologię klasyczną i specjalizację teatrologiczną.

Czy w kulturze antycznej jest jakaś postać, z którą się Pani identyfikuje?

Z którą się wyjątkowo identyfikuje, to chyba nie, ale jest na pewno postać, którą bardzo cenię i bardzo lubię. To jest Antygona, której zresztą poświęciłam swój doktorat.

Dlaczego?

Poświęciłam jej także część mojego życia naukowego. Bardzo dużą sympatią darzę tę młodą dziewczynę, która decyduje się walczyć w obronie sprawiedliwości, nawet świadoma tego, co ją może za to spotkać. I to nie dla siebie tak naprawdę, tylko dla kogoś jej najbliższego, czyli dla jej brata. Tak jak powiedziałam, w obronie sprawiedliwości, w obronie godności ludzkiej.

A czy jest jakieś zagadnienie, które wydaje się Pani mniej ciekawe?

Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, ale wydaje mi się, że nie ma rzeczy nieinteresujących w ogóle. Nie istnieją. Jest to kwestia osoby, która o tym mówi, pasji, którą ma w sobie, tego, czy umie czy nie umie danym zagadnieniem zarazić i tego, czy my−słuchacze, jesteśmy na tyle otwarci, żeby dostrzec w tym zagadnieniu coś interesującego.

Woli Pani pracę naukową czy pracę dydaktyczną?

Ja lubię uczyć i to niezależnie od tego, czy to jest młodzież gimnazjalna czy studenci na uniwersytecie. Po prostu lubię opowiadać o rzeczach, które uważam za fascynujące, za warte poznania, i tym samym przekazania mojej fascynacji innym. Może niekoniecznie przekonania ich do tego, bo to każdy musi ocenić sam, ale pokazania, że to są ciekawe rzeczy i u kogoś mogą również wzbudzić zainteresowanie.

Minęły już dwa miesiące od rozpoczęcia roku. Jak się Pani pracuje z uczniami GiLA?

Dobrze. To co prawda jest wstępna ocena, bo minęły dopiero dwa miesiące [śmiech], ale na razie pracuje mi się bardzo dobrze.

Lidia Kępczyńska

Starożytne otrzęsiny 2018

Dnia 2 października 2018 w naszej szkole odbyły się otrzęsiny klas pierwszych liceum. Tematem przewodnim była starożytność, a całą ceremonią kierowali znani i lubiani greccy bogowie. Każdy z nich miał swoją własną salę, w której czekały na naszych świeżo upieczonych Gilowiczów liczne, arcytrudne zadania. W świątyni Apolla mogli spróbować swoich sił wokalnych, a w salonie kosmetycznym Afrodyty odtwarzali starożytne kanony piękna. Dzięki tym konkurencjom została wyłoniona najlepsza drużyna. Po zakończeniu zmagań wybrano też najbardziej udane przebrania. (Strój starożytny był jednym z podstawowych warunków uczestnictwa.) Wśród zwycięzców znalazła się między innymi Kleopatra, rzymska przedstawicielka patrycjatu i niewolnik. (Jak widać, nie było tu dyskryminacji ze względu na status społeczny.) Po ceremonii każdy uczestnik imprezy otrzymał drobny, słodki podarunek i opuścił szkołę w dobrym humorze.

Otrzęsiny w obiektywie Patryka Szkuty

Martyna Sobaczk

Wielka siła małego ciała

Agata Imianowska na swój sukces pracowała trzy lata. Doświadczyła m. in. kontuzji barku oraz borykała się z brakiem czucia w lewej ręce, ale dała radę i została mistrzynią świata w wyciskaniu sztangi. 16 kwietnia odwiedziła internat GiLA.

Największą motywacją były dla niej postępy oraz utrata wagi. „Kiedyś byłam ogromnym grubasem, teraz schudłam trzynaście kilo. Czuję się lekko, wbiegam na czwarte piętro bez oznaki zmęczenia i bardzo mnie to cieszy, bo wcześniej wejście nawet pierwsze było dla mnie wyczynem. Wiem, ile poświęciłam w swoim życiu i nie mogę się teraz poddać" – wyznaje Agata.

Uprzednio jej dziedziną sportową było jeździectwo, ale zrezygnowała z niego, ponieważ chciała znaleźć sport, w którym będzie zależna tylko od siebie. Pragnęła dążyć do celu wskutek własnych decyzji oraz możliwości. Jak powtarza w wywiadzie: „Na siłownię poszłam, żeby schudnąć. Zdolności, ambicja i determinacja ujawniły się w czasie ćwiczeń." Na początku członkowie rodziny odradzali jej wyciskanie sztangi, ponieważ sport ten uważany jest za męski, ale później dostrzegli pozytywne zmiany w jej wyglądzie i postanowili wspierać Agatę.

Podczas zawodów, aby opanować stres, zamyka się w swoim świecie. „Zachowuję spokój i skupiam myśli na przykład na osobie, której chcę pokazać, że potrafię. Ważne jest to, aby nie zastanawiać się nad tym, że coś może pójść nie tak, ale trzeba być przygotowanym na każdą okoliczność, a przede wszystkim pewnym siebie" – radzi.

Kiedy była na zawodach w Elblągu, wygrała w dwóch kategoriach kobiet: na ilość powtórzeń oraz jednokrotne udźwignięcie jak największego ciężaru. Gdy stała na podium, pewien pan przechwycił mikrofon i powiedział, że właśnie pobiła nieoficjalny rekord świata. „Ta wiadomość nawet do mnie nie docierała. Byłam w szoku. Potem powtórzyłam to na mistrzostwach świata" – opowiada sztangistka.

W przypadku Agaty sukces jest dopełnieniem pasji i nie ma ona potrzeby rozgłosu ani afiszowania się swoimi osiągnięciami oraz tytułami. „Mam w sobie wystarczająco pokory, żeby nie opowiadać o tym każdemu, bo wiem, że to jest nagroda dla mnie" – podsumowuje.

Źródło: Internet

Zofia Pieróg, Marta Rogulska

Geekowie też czasami wychodzą na światło słoneczne!

Copernicon 2018

Ulice toruńskiej starówki podczas jednego z wrześniowych weekendów, a dokładniej od 14 do 16 września, zostały zapełnione przez nietypowych osobników. Niektórzy z nich przypominali sztampowych turystów, odznaczających się na tle reszty spacerowiczów jedynie jaskrawym dodatkiem w ubiorze, nietuzinkowym kolorem włosów lub rzucającym się w oczy makijażem. Większość z nich jednak całym swoim przebraniem i aparycją eksponowała swój niecodzienny charakter pobytu w Toruniu. Wszystkich ich łączyła widoczna gdzieniegdzie kolorowa plakietka oraz dobry humor i ogólne ożywienie. Gromada ta zdołała nawet zająć i zablokować zwykłym, szarym obywatelom dostęp do kilku znanych obiektów Torunia, takich jak Collegium Minus, Collegium Maximum, Liceum Ogólnokształcące nr 1, Dwór Artusa, Wydział Matematyki i Informatyki, a nawet część Rynku Nowomiejskiego.

Powodem nagłego pojawienia się tylu ekscentrycznych postaci była 9. edycja organizowanego corocznie we wrześniu Coperniconu, czyli wydarzenia skierowanego do osób zainteresowanych grami, fantastyką, literaturą, filmami oraz nauką pod każdą postacią. Wielu naszych uczniów również dołączyło do tego barwnego zgromadzenia i miało okazję wziąć udział w mnóstwie atrakcji oferowanych podczas imprezy.

Jak na każdym konwencie, ulice Starówki były pełne osób w kolorowych strojach. I jak na każdym konwencie, reakcje osób niewtajemniczonych bywały różne. Choć nie spotkałam się w tym roku z żadną nieprzyjemną sytuacją, na wspomnienie zasługuje pewien pan, który spacerował z dziewczyną ulicą Szeroką, dumnie prezentując swój czarny dres z charakterystycznymi paskami. Najwyraźniej jego zdaniem każdy ubrany nieco inaczej zasługiwał na potępienie, bo bardzo głośno komentował każdą kolorową perukę i każdy kostium, który wpadł mu w oko. Zmieszał się nieco dopiero zobaczywszy nadchodzącą z naprzeciwka grupę osób w strojach z gry „Stalker". Chyba nie był pewien, jak zareagować na mundury i sztuczną broń; być może pomyślał, że to zagubiona na starówce grupa amerykańskich żołnierzy, bo nagle wcale nie miał za dużo do powiedzenia na temat „bandy przebierańców".

Największą różnorodność wśród strojów konwentowiczów można było podziwiać podczas parady cosplay, która sobotnim popołudniem dumnie przeszła wzdłuż Starego Miasta, zaczynając swoją trasę przy Łukach Cezara, a kończąc ją na Rynku Nowomiejskim. Postacie z kreskówek i anime przeplatały się tam z znanymi osobistościami z gier i filmów, a wokół barwnego pochodu licznie krążyli kamerzyści i fotografowie; prawdziwi profesjonaliści pragnący jak najlepiej uchwycić tę żywą maskaradę oraz zdziwieni, a nawet zdębiali turyści najczęściej w podeszłym wieku. Jednak najgłośniejszym powitaniem została obdarzona grupa młodych ludzi przebranych za prawdziwych współczesnych Słowian. Najwidoczniej luźne przyodzienie udekorowane trzema paskami, wzorzyste bandany, bogato zdobione dywany przerzucone przez ramię oraz stylowe nakrycia głowy (kaszkiety) wraz ze słynnym słowiańskim przykucem, tańcem kazaczokiem i rosyjskim techno również mogą stanowić świetny cosplay. Szkoda, że wyżej wspomniany pan głośno wyrażający swoje przemyślenia nie dołączył do tej konwentowej zabawy.

Spośród wielu interesujących twórców często bardzo trudno było wybrać tych, na spotkaniu z którymi chce się być koniecznie. Jako, że konwent trwał „tylko" trzy dni, wielokrotnie trzeba było zastanawiać się, które prelekcje będą bardziej interesujące od innych, dziejących się w tym samym czasie. Choć wiele osób przyciągały najpopularniejsze fandomy – pełne były sale na wykładach o Marvel Cinematic Universe lub Star Warsach – znalazł się też czas dla fanów rzeczy mniej mainstreamowych. Świetnie bawiłam się na panelu, podczas którego grupka kilkunastu osób przez bite dwie godziny wyśpiewywała piosenki z broadwayowego „Hamiltona", choć musical nie ma polskiego tłumaczenia i raczej trudno spotkać na co dzień kogoś, kogo interesuje rapowana historia amerykańskich Ojców Założycieli. Pełna sala (zajęta okazała się nawet cała podłoga) była również podczas wykładu o czarnej magii i zaklęciach, jakich używały średniowieczne polskie wiedźmy. Prelekcje miało także kilku profesorów z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, który sponsorował całe wydarzenie – mówili o sztucznej inteligencji, kosmosie, zielarstwie, analizowali twórczość Stanisława Lema. Copernicon kolejny raz pokazał, że nie jest wydarzeniem wyłącznie dla nerdów, którzy raz na rok wynurzają się ze swojej oświetlonej jedynie blaskiem komputera jaskini; jestem przekonana, że po rzuceniu okiem na program wydarzenia każdy znalazłby w nim coś dla siebie – zwłaszcza, że jak co roku, każdy mógł też zgłosić własny punkt programu.

Źródło: Internet

Youtuberzy na Coperniconie, czyli co dzieje się, gdy internetowi twórcy ruszają w świat realny

Podczas Coperniconu odbywały się spotkania z wieloma twórcami internetowymi, którzy współcześnie cieszą się dużą popularnością. Jednymi z nich byli Marek Hucz i Jan Jurkowski z Grupy Filmowej Darwin, czyli znanego kanału na YouTubie publikującego głównie satyryczne, krótkometrażowe produkcje. Chłopaki są odpowiedzialni za stworzenie m. in. zdecydowanie zbyt dobrze wpadającego w ucho utworu Orki z Majorki i paru innych piosenek oraz serii Wielkie Konflikty, która w sposób humorystyczny przedstawia spory i spięcia wielkich osobowości z literatury bądź historii świata. Ich wyjątkowość polega również na tym, że chłopaki nie ograniczają się do określonej grupy odbiorczej, a humor zawarty w ich filmach bawi tak samo współczesnych nastolatków, jak ich rodziców. Wielu twierdzi, że twórczość GF Darwin jest nadzieją na rozwój polskiego YouTube'a niekoniecznie w stronę bezmyślnego kopiowania pomysłów z zagranicznych kanałów, czyli najczęściej z tych, które ograniczają swój repertuar do filmowania „przezabawnych" pranków. Dotychczas autorzy sami sponsorowali swoje produkcje, jednak wraz z rozwojem kanału, stwierdzili, że ich własny wkład pieniężny nie jest w stanie pokryć kosztów związanych z realizacją coraz to ambitniejszych projektów i od pewnego czasu umożliwiają swoim oddanym fanom wsparcie ich chociażby symbolicznym „piątakiem" poprzez stronę internetową Patronite. Dzięki takiemu zabiegowi widzowie mogą cieszyć się filmami, które oprócz tego, że są wartościowe merytorycznie, to również oferują miłe dla oka wrażenia estetyczne. Organizatorzy wydarzenia zorganizowali z „Darwinami" w roli głównej dwa punkty programu. Najpierw podczas dwugodzinnego panelu odbywającego się w przestronnej auli Wydziału Matematyki i Informatyki, fani mogli zadać Markowi i Jankowi dowolne pytania, jakie przyszły im na myśl, a marzenia o autografie któregoś z nich czy też wspólnym zdjęciu można było zrealizować przy stoisku autografowym, do którego GF Darwin przeniosło się po zakończeniu spotkania w auli.

Torunianie obracający się w kręgu polskich youtuberów prawdopodobnie znają kanał Generatora Frajdy. Bartek Sitek nagrywa na swoim obecnym kanale już ponad dwa lata i zgromadził w tym czasie 250 tysięcy subskrybentów, których przyciągnął

jego charakterystyczny humor i bardzo specyficzny sposób montażu filmów. Czy to komentuje podróbki LEGO zakupione w chińskim centrum handlowym, czy mocuje lalki na grzbietach dinozaurów i wpuszcza je na ring, by walczyły na śmierć i życie z plastikowymi pszczołami na kółkach – jego charakterystyczny sposób bycia stale przyciąga kolejne osoby. Opis ten brzmi trochę jak fabuła jakiejś niszowej animacji dla dzieci wyprodukowanej przez Chińczyków, by zgarnąć pieniądze rodziców wysyłających swoje dzieci do kina w sezonie świątecznym, fakt. Ale to właśnie przypadkowość i wręcz niezorganizowanie sprawiają, że filmy Bartka mają w sobie pewien urok, spod którego trudno się wyzwolić. Kilka miesięcy temu twórca niemalże zniknął jednak ze sceny YouTube'a, pozostawiając kilka niezakończonych serii i grupę fanów z niecierpliwością wyczekujących kolejnych filmów. Dlatego gdy przyszedł czas na spotkanie z nim podczas Coperniconu, sala pękała w szwach i spora część osób musiała zadowolić się siedzeniem na podłodze. Jakże wielkie było jednak zdziwienie, gdy dowiedzieliśmy się, że Bartek został zatrudniony przez telewizję Polsat i jednym z powodów jego zniknięcia było to, że niedługo będzie prowadził swój własny program – GryKomputeroweShow. Choć dla przypadkowej osoby może to brzmieć normalnie – utalentowana osoba zaczyna współpracę z siecią zwiększającą jej zasięgi i dającą większe możliwości – dla youtubera jest to spore wydarzenie. Pomimo tego, że platforma działa już od lat, wśród ludzi nadal funkcjonuje bardzo stereotypowy obraz internetowego twórcy – krzyczącego w mikrofon młodego dorosłego, którego oglądają dzieci z podstawówki. Przyjemnie jest zobaczyć, że kreatywne osoby używające YouTube'a jako miejsca do rozwoju dostają szansę na zmianę tego stereotypu.

Stanisław Kostulski

Idziemy po równość. Wszyscy

Zgodnie z tegorocznym hasłem (Bądźmy widoczni_e) 29 września tęczę można było znaleźć w każdym zakątku Torunia. Już w zeszłym roku organizatorzy pokazali, że manifestować można w całym mieście, a nie tylko na starówce, wyprowadzając pochód z centrum na przedmieścia. W tym roku barwny korowód przeszedł kilkukilometrową trasą przez Chełmińskie i Bydgoskie Przedmieście. Toruńskie wydarzenie organizowane przez Grupę Inicjatywną Marszu Równości było jednym z piętnastu (!) podobnych organizowanych w Polsce w 2018 roku. Wspierane było przez organizacje LGBT+ z całego kraju; przyjechali aktywiści m. in. z Poznania, Bydgoszczy czy Kielc, a warszawska Parada Równości ufundowała pamiątkowe naklejki.

Maszerowały tłumy radosnych dorosłych, starszych, ale przede wszystkim młodych, którzy w piękną pogodę nieśli przesłanie miłości i tolerancji. Według organizatorów liczba uczestników wyniosła około 1500 osób, o 500 więcej niż podczas ubiegłorocznego wydarzenia. Także nasza szkoła może się poszczycić wyższą frekwencją. My − młodzi – czujemy siłę, wychodzimy na ulice. Pora to zauważyć.

Fot. Stanisław Kostulski

Fotorelacja z Halloween 2018

Fot. Marta Rogulska, Patryk Szkuta

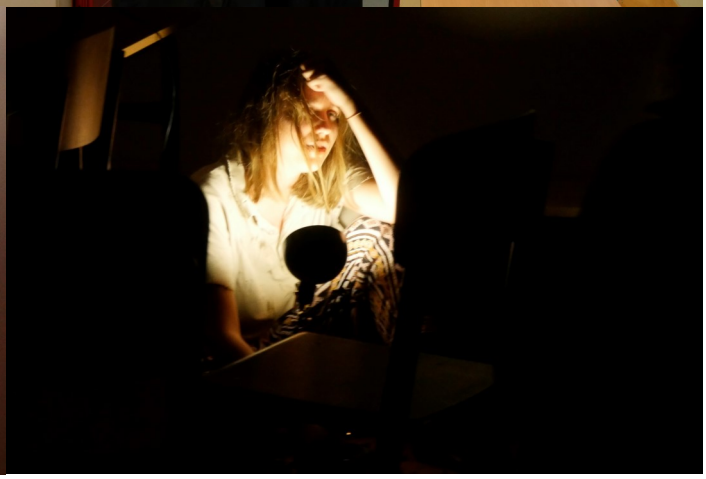

Lena Bojakowska

Dokąd prowadzi „rozrzutność”

Czyli o plastiku słów kilka

Lekki, odporny na wodę, do tego tani i wytrzymały – plastik w zaledwie kilka dekad zdołał w dużej mierze zastąpić materiały, na których opierała się produkcja rozmaitych dóbr jeszcze przed drugą wojną światową. Rewolucyjny materiał ułatwił nasze życie pod wieloma względami, jednak aż 40% całkowitej wyprodukowanej jego ilości „kończy swój żywot” po zaledwie jednokrotnym wykorzystaniu.

Szacuje się, że od 1950 roku zdążyliśmy wyprodukować ponad osiem miliardów ton plastiku. Tylko ok. 9% poddawanych jest recyklingowi, a 12% – spaleniu. Co się dzieje z pozostałą częścią? Zalega, zanieczyszczając przy tym środowisko. Ogromne sterty znajdziemy nie tylko na wysypiskach, ale także w morskich głębinach, a nawet na ulicach azjatyckich miasteczek. Ale przecież ani los małych miasteczek na innym kontynencie, ani ogromne oceany to nie nasza sprawa…

Z „europejskiego” punktu widzenia problem śmieci znika niestety wraz z pełnym ich workiem wrzuconym do kontenera. Nie zastanawiamy się, co dzieje się z nimi potem, a coś przecież musi. To „coś” nie jest jednak w żadnym stopniu porównywalne do tego, co postrzegamy jako magiczne rozpływanie się w eterze. Duża ilość śmieci wysyłana jest do Azji. Chiny, do których trafiało najwięcej odpadów najgorszej jakości, wraz z początkiem 2018 roku przestały je przyjmować, co stworzyło problem dla państw jeszcze do niedawna bazujących na eksporcie swoich śmieci w tamten region. W krajach Dalekiego Wschodu ponadto wytwarzana jest połowa światowej produkcji plastiku. Niektóre miasta wręcz w nim toną. Za przykład może posłużyć Delhi, stolica Indii. Chociaż głównie mówi się o zanieczyszczonym powietrzu tego obszaru, objawiającym się żółtawymi, unoszącymi się tam oparami, to problem śmieci wcale nie jest mniejszy. Mieszkańcy slumsów przeszukują ogromne tereny pokryte odpadami w poszukiwaniu takich, które nadawałyby się do sprzedania. Te, które zostaną ominięte, często przedostają się do świętej rzeki – Jamuny, która „jest martwa. Po prostu jeszcze jej nie skremowano”, jak określiła to szefowa Centrum Nauki i Środowiska w New Delhi – Sunita Narain w 2010 roku. Tak zły stan płynącej wody jednak nie powstrzymuje mieszkańców przed zabawą i kąpielami w niej.

Źródło: Internet

Zanieczyszczonych, przenoszących odpady rzek jest niestety więcej. Szacuje się, że są one drogą do oceanów, którą pokonuje 2,75 ton plastiku rocznie. Wodami Jangcy, które mają największy udział w tym transporcie, równocześnie należąc do najbrudniejszych na świecie, rocznie do morza dociera 1,5 miliona ton plastikowego materiału. A co się dzieje w ocenach? Dużo słyszy się o morskich stworzeniach z żołądkami pełnymi odpadów, linkami

owiniętymi ciasno wokół ciał, uduszonych przez jednorazowe reklamówki, złapanych w stare, porzucone sieci rybackie czy pułapki na kraby. Z powodu tworzyw sztucznych umierają miliony morskich zwierząt – w tym także te pod ochroną. Jednak to nie wszystko. Plastik pod wpływem uszkodzeń mechanicznych i promieniowania UV rozdrabnia się na elementy mierzące mniej niż pół centymetra średnicy i pod tą postacią w dalszym ciągu jest zjadany nawet przez organizmy tak małe, jak zooplankton. „Rozkruszony" materiał stanowi także dużą część Wielkiej Pacyficznej Plamy Śmieci – zawiesiny, jednej z wielu na świecie, odkrytej w 1997 roku w północnej części Oceanu Spokojnego przez Charlesa Moore'a. Jej powierzchnię szacuje się na półtora miliona kilometrów kwadratowych. Niedawno, bo 8 września, fundacja Ocean Cleanup rozpoczęła wielką akcję zbierania zalegających tam nieczystości z założeniem, że w ciągu najbliższych pięciu lat uda się zredukować wielkość plamy aż o połowę. Mówi się również o tym, że nawet do 15% piasku na niektórych hawajskich plażach w rzeczywistości jest mikroplastikiem − bo tak go nazwano. Nie znamy jeszcze dokładnego wpływu, jaki wywiera on na nasze zdrowie, jednak warto wspomnieć o badaniach profesor z nowojorskiego uniwersytetu, Sherri Mason, które wykazały, że w 93% przeanalizowanych przez nią próbek wody butelkowej znajdowały się jego cząsteczki.

Plastikowe opakowania po zaledwie kilkudniowej służbie lądują w koszach, żeby następnie trafić do mórz i... koło się zamyka. Najgorszy i najsmutniejszy jest fakt, że w taki sposób traktujemy materiał, który potrzebuje przynajmniej czterystu lat, by ulec degradacji. Ciekawostką jest za to niedawno ulepszony przez naukowców z Uniwersytetu w Portsmouth, amerykańskiego Narodowego Laboratorium Energii Odnawialnych oraz Uniwersytetu w Campinas enzym PETaza zdolny rozłożyć plastikową butelkę w zaledwie kilka dni, a – według badaczy – jego wydajność może zostać jeszcze poprawiona. Nowe sposoby na recykling i zwiększenie procentu poddawanych mu odpadów to rzeczy, które są nam potrzebne od zaraz.

Mimo wszystko plastik dał wiele możliwości, obecnie wykorzystywany jest w wielu gałęziach przemysłu, a znalezienie równie dobrego zamiennika nie jest czymś łatwym. To, co jest złe, to nasza „rozrzutność", kiedy chodzi o jednorazowe wykorzystanie produktów z niego wykonanych. W 1955 roku w magazynie „Life" pojawiło się zdjęcie reklamujące „Throwaway Living" jako cudowne rozwiązanie kojarzone z wyższą jakością życia. Wiele organizacji stara się przeprowadzać kampanie zachęcające do zmniejszenia użycia jednorazowych przedmiotów łatwo dających się zastąpić bardziej przyjaznymi środowisku alternatywami. Takie przedsięwzięcia czasem paradoksalnie spotykają się jednak z negatywnym odbiorem, czego doświadczyła niedawno antysłomkowa akcja Noizz. Krytyka odnosiła się głównie do faktu, iż słomki stanowią jedynie niewielki procent wszystkich śmieci trafiających do oceanu. Jednak od czegoś trzeba zacząć i rezygnacja z plastikowych przedmiotów jednorazowego użytku, nie tylko tych, które były celem akcji wspomnianej wcześniej, jest krokiem do przodu. Za ciekawą aktywność uważam także propagowanie stylu życia „zero waste", czyli z bardzo zminimalizowanym generowaniem śmieci niepoddawanych recyklingowi. Sprowadza się to nie tylko do używania własnych pojemników, opakowań na żywność, ale nawet do wytwarzania domowych kosmetyków i detergentów, co równocześnie uwalnia od niektórych substancji wątpliwej użyteczności. Nie trzeba jednak od razu całkowicie rezygnować z plastiku; ważne jest, by zacząć robić cokolwiek, by jego zużycie zmniejszyć i pozbyć się przekonania, że „to nie jest mój problem, inni w końcu coś wymyślą i zrobią wszystko za mnie".

Źródło: Internet

Zuzanna Kuffel

To zwykłe „lenistwo”? A może fobia?

Są zamknięci w sobie. Szkoła jest dla nich źródłem strachu, wstydu i poniżenia. Towarzyszy im nieustanne poczucie odrębności, inności, wyobcowania. Rzadko nawiązują bliższe relacje z rówieśnikami. Nie uczestniczą w wydarzeniach szkolnych. Między lekcjami ukrywają się w łazienkach. Oto jak wygląda życie uczniów cierpiących na fobię szkolną…

10 września obchodziliśmy Światowy Dzień Zapobiegania Samobójstwom. Głośnym ostatnio problemem jest szybująca w górę liczba samobójstw wśród młodzieży. Dlatego tak istotne jest szerzenie świadomości w społeczeństwie na temat zaburzeń psychicznych, z jakimi mogą zmagać się nastolatkowie. Jednym z najpowszechniejszych jest fobia szkolna. Nierozpoznana i nieleczona może być przyczyną innych chorób w przyszłości. Dziecko jest narażone zarówno na poważne zaburzenia somatyczne, jak i psychicznie.

Problemy z fobią szkolną często zaczynają się już w przedszkolu. Godzinny płacz i histerie każdego poranka po rozstaniu z rodzicem mogą stanowić swoiste preludium późniejszego problemu. Tak było w przypadku jednej z moich rozmówczyń Sandry, obecnie uczennicy drugiej klasy liceum. „Psychiatra orzekł, że właśnie u progu edukacji rozpoczęła się moja fobia szkolna. Z tego co pamiętam byłam wówczas bardzo wycofana, nie chciałam pracować z innymi dziećmi i wolałam siedzieć sama” – wspomina dziewczyna. W szkole podstawowej i gimnazjum wiele wskazywało na to, że problem Sandry ustąpił. Miała tylko pewne trudności z odnalezieniem się w grupie. Eskalacja problemu nastąpiła jednak w liceum. „W pierwszej klasie próbowałam wtopić się w tłum, wyglądać tak samo i prowadzić taki sam tryb życia jak inni, co całkiem dobrze mi wychodziło. Jednak po wakacjach w drugiej klasie zaczął się faktyczny problem, który trwa do dziś” – opowiada nastolatka. Towarzyszyło jej uczucie zupełnego wyobcowania. Nie miała już ani ochoty, ani siły, by ukrywać swoje emocje, czego efektem było wykluczenie z grupy rówieśniczej. „Wtedy zaczęły się coraz częstsze nieobecności. Gdy wstawałam rano i szykowałam się do szkoły, często zaczynałam po prostu płakać, histeryzować i rzadko byłam w stanie dotrzeć na zajęcia” – wspomina Sandra.

Z kolei druga z moich rozmówczyń, Natalia, dziś już studentka Uniwersytetu Warszawskiego, zmagała się z inną formą fobii – przerastał ją stres związany z odpowiedziami ustnymi, „odpytywaniem”, rozwiązywaniem zadań przy tablicy. Przez pierwsze lata szkoły nauczyciele zdawali się w pewien sposób dostosowywać wymagania edukacyjne, uwzględniając jej problemy. Jak podejrzewa Natalia, elastyczność nauczycieli wynikała z tego, że uczęszczała do podstawówki integracyjnej. Problem urósł w gimnazjum, gdzie jej obawy przed wystąpieniami spotkały się z niezrozumieniem. Wykształcone przez nią w okresie buntu mechanizmy obronne uznawano z góry za przejawy arogancji i lenistwa. „Przez brak porozumienia z kadrą pedagogiczną zaczęłam opuszczać pojedyncze zajęcia, potem całe dnie. Rodzice usprawiedliwiali wszystkie moje nieobecności, a ja zaliczałam wszystkie zaległe sprawdziany na dobre oceny, więc wydawało się, że nie ma problemu” – wspomina studentka. Wybierając liceum, Natalia zdecydowała się na najlepszy mat-fiz w jej rodzinnym mieście – jednym z największych miast wschodniej Polski. Po dwóch miesiącach zmieniła profil na nieco mniej wymagający, ponieważ nie poradziła sobie z presją. „Chociaż zawsze byłam dobra z matematyki, moje problemy urosły do takiego rozmiaru, że nie byłam w stanie nawet pisać sprawdzianów. Kiedy w mojej głowie pojawiała się najmniejsza wątpliwość, blokowałam się, nie potrafiłam nic wymyślić, wskutek czego oddawałam puste kartki” – opowiada dziewczyna. Wpadła w błędne koło. Jej problemy zaczęły odbijać się na ocenach, co okazało się bolesne dla Natalii, która z natury jest osobą bardzo ambitną. Jej samoocena spadała w zatrważającym tempie, dziewczyna czuła się coraz gorzej, a kiedy czuła się źle, nie miała siły na naukę, co skutkowało kolejnymi słabymi wynikami w szkole.

Trzecia z moich rozmówczyń, Dominika, obecnie studiująca równolegle dwa kierunki, w tym psychologię, na Uniwersytecie Jagiellońskim, z fobią szkolną zmagała się od wczesnych lat podstawówki do końca gimnazjum. Podobnie jak Sandra, na

początku czuła przymus udawania, że wszystko jest w porządku. Nie chciała przyznawać nauczycielom czy rodzicom, że dzieje się coś niewłaściwego. Zamknęła się w sobie. „Byłam dzieckiem powszechnie uważanym za dziwne" – przyznaje dziewczyna. Specyfika jej historii polega na tym, że do końca gimnazjum mieszkała i uczyła się w bardzo małej miejscowości, gdzie wszyscy się znali. Po ukończeniu podstawówki, niestety bezskutecznie, próbowała przekonać rodziców, żeby przenieśli ją do szkoły w nieodległych Kielcach. „Myślę, że gdybym szczerze z nimi porozmawiała, mogliby się zgodzić. Nie chciałam jednak podawać zbyt wielu szczegółów, przez co brzmiałam jak dwunastolatka z fanaberią" – stwierdza po czasie. Podkreśla też, że zawsze miała dobre relacje z rodzicami, zwłaszcza z mamą. Jednak nie znalazło to odbicia w łatwości rozmawiania o problemach.

Fobia szkolna, mimo że jest problemem zakorzenionym w psychice, odbija się także na zdrowiu fizycznym. Wśród najczęstszych objawów somatycznych Beata Drychta – psychoterapeutka psychoanalityczna, która na co dzień pracuje z dziećmi, młodzieżą i osobami dorosłymi w gabinecie prywatnym − wymienia, m. in. bóle i zawroty głowy, bóle brzucha, przyspieszone bicie serca, bóle kręgosłupa, drżenie kończyn, poczucie omdlewania, brak apetytu, skargi na nudności, naglącą potrzebę oddawania moczu, moczenie nocne, bezsenność, wymioty i biegunkę. Dolegliwości bywają bardzo zindywidualizowane. „Byłam okropnie zestresowana, zirytowana, miałam ciągłe problemy z koncentracją i snem. Okresowo nie spałam po kilkadziesiąt godzin albo odwrotnie, przesypiałam 18 godzin dziennie każdego dnia. Niekontrolowanie obgryzałam skórki do krwi i się drapałam. Miewałam ataki paniki, a bóle głowy i brzucha nie dawały mi spokoju" – opowiada Natalia. Z kolei Sandra odczuwała nerwobóle w klatce. „Ważne jest by rodzice nie bagatelizowali żadnych sygnałów, spróbowali z dzieckiem omówić to, co się z nim dzieje, posłuchali tego, co mówi, byli gotowi przyjąć lęk, niepewność, których doświadcza dziecko" – podkreśla Drychta. Wszystkie objawy somatyczne, bardziej lub mniej poważne, są sygnałem, że dzieje się coś niewłaściwego.

Jak mówi Beata Drychta: „Przyczyny fobii są bardzo trudne do określenia, bo dotyczą tego, czego nie możemy zobaczyć, a mianowicie świata wewnętrznego drugiego człowieka, w tym przypadku dziecka". Kiedy dziecko idzie do szkoły po raz pierwszy, jego dotychczasowa wizja siebie zostaje zweryfikowana. „To w jaki sposób dziecko przeżywa kontakty z kolegami i koleżankami, jak reaguje na ocenę, na porównywanie się z cechami, możliwościami innych osób w grupie, jest efektem jego wcześniejszych relacji z innymi osobami, rodzicami, rodzeństwem" – wyjaśnia Drychta. To właśnie podczas socjalizacji pierwotnej powstaje indywidualny obraz siebie, budowane jest poczucie własnej wartości.

Wspomniane zetknięcie z rówieśnikami bywa bardzo trudne. Dla osób z fobią szkolną sytuacja w sferze kontaktów z resztą młodzieży jeszcze się pogarsza. „W gimnazjum byłam odmieńcem i obiektem drwin kilku klasowych kolegów, którzy dogryzali mi i dwóm innym dziewczynom" – wyznaje Dominika. Mimo że jej koleżanki zgłosiły sprawę szkolnemu pedagogowi, Dominice problem nie wydawał się poważny. To prawdopodobnie ze względu na jej przeżycia z czasów podstawówki nabrała pewnego rodzaju tolerancji na takie zdarzenia. Rówieśnicy nie uznawali jej także za atrakcyjną, wyśmiewali na forum. Nauczyciele zdawali się nie zwracać na to uwagi. Z kolei Natalia przyznaje, że rówieśnicy „patrzyli na nią jak na wariatkę", kiedy podczas zajęć nagle musiała wyjść z sali. Sandra często ukry-

Źródło: Internet

wała się w łazience przed znajomymi. Koledzy i koleżanki z klasy potrafili krytykować ją nawet za zaniżanie frekwencji zbiorowej ze względu na problemy zdrowotne. Wpadła w tak głęboką depresję, że nie mogła już dalej chodzić do szkoły. Przez swoje problemy Sandra powtarza obecnie drugą klasę. Rodzice na początku nie chcieli jej pomóc; myśleli, że jest leniwa, że zwyczajnie jej się nie chce. W tym roku zdecydowali się na nauczanie indywidualne. Nauczyciele z liceum przyjeżdżają do niej do domu. Sandra uważa to za dobre rozwiązanie. Nie musi codziennie mierzyć się z rówieśnikami. Dziewczyna stara się też pracować dorywczo. „W pracy też mi trudno. Jednak łatwiej tam funkcjonować jako jednostka, podczas gdy w szkole kładzie się nacisk na integrację". Z kolei Dominika o swoich dalszych losach, po ukończeniu stresującego gimnazjum mówi tak: „Uczęszczałam do jednego z lepszych liceów w województwie, byłam tam lubiana – zarówno przez nauczycieli, jak i przez uczniów. Studiuję dwa kierunki w Krakowie. Oba wydziały są dla mnie drugim domem".

Natalia jako jedyna z dziewczyn korzystała z pomocy specjalistów. W trakcie liceum została skierowana do poradni pedagogiczno-psychologicznej. Po rozmowach ze specjalistami i testach dostała zaświadczenie o dostosowaniu nauczania i wydłużeniu czasu na rozwiązanie zadań podczas matury. Przez całe liceum pozostawała pod opieką psychologa. „Nie umiem ocenić, czy mi to pomogło. Jest lepiej, ale wciąż nie jest dobrze. Nadal bardzo stresuję się na egzaminach, ale nauczyłam się z tym radzić i jednak udzielać nawet tych odpowiedzi, których nie jestem pewna. Do umiejętności uspokojenia się trzeba dojść samemu, metodą prób i wniosków" – radzi Natalia. Beata Drychta poleca rodzicom jak najszybciej zabrać dziecko, u którego podejrzewają fobię szkolną, do specjalisty. „Psychika dziecka jest bardzo plastyczna, dlatego im wcześniej zdecydujemy się pójść po pomoc, tym lepiej dla jego rozwoju" – podsumowuje psychoterapeutka.

Dziewczyny, które zdecydowały się podzielić swoimi doświadczeniami fobii szkolnej, pochodzą z różnych środowisk, mają różne zainteresowania. Nie ma znaczenia, czy nastolatkowie uczą się w dużych miastach czy na wsi. Nie ma znaczenia, czy uczeń jest wybitny, przeciętny czy ma problemy z nauką. Nie ma znaczenia, czy jest chłopcem czy dziewczynką. Nie ma znaczenia, czy ma dobre relacje z rodzicami, czy jest zbuntowanym nastolatkiem. Na fobię szkolną równo narażona jest każda osoba w trakcie edukacji szkolnej, na każdym jej etapie. I nigdy nie należy tego problemu lekceważyć ani się go wstydzić.

Ola Szynkora

Walka w rytmie bębnów

Współcześnie sztuki walki mają charakter dyscyplin sportowych. Jak w każdej dziedzinie organizowane są zawody i istnieje podział na stopnie zaawansowania. Z tego powodu część klubów kładzie duży nacisk na prestiż stowarzyszenia i osiągnięcia jego członków. Niektórym taka forma sportu odpowiada, a innych przeciwnie − zniechęca. Dla tej drugiej grupy capoeira może być ciekawą propozycją.

Sztuka ta powstała na przełomie XVIII i XIX wieku w Brazylii. Jej twórcami byli niewolnicy, którym nie wolno było uczyć się jakichkolwiek form samoobrony. Wpadli więc na pomysł połączenia walki z tańcem i muzyką, co było już akceptowane przez kolonistów. Capoeira, w której nadal silne są wpływy afrykańskie, przypominała im o domu i stanowiła odskocznię od okrutnej rzeczywistości.

Na początku XX wieku ta forma walki była w Brazylii nielegalna. Uprawiały ją głównie biedniejsze warstwy społeczeństwa. Jej obecny wizerunek i formę zawdzięczamy Manuelowi do Reis Machado, zwanemu Mestre (por. *mistrz*) Bimbą. Postanowił on przekształcić pierwotną capoeirę w regularną sztukę walki, gdyż uważał, że z biegiem lat straciła skuteczność i stała się tańcem. Uzupełnił ją więc o własne elementy, techniki zaczerpnięte z innych stylów oraz przywrócił figury dawno już zapomniane. W 1928 roku Mestre udało się przekonać władze, że capoeira jest dziedzictwem kulturowym Brazylijczyków i doprowadzić do jej zalegalizowania. W 1932 roku założył pierwszą szkołę tego stylu. Od swoich uczniów wymagał kultury osobistej i wykształcenia, wskutek czego capoeirę zaczęły uprawiać także wyższe i średnie warstwy społeczeństwa. W zajęciach Bimby uczestniczyły rów-

Źródło: Internet

Źródło: Internet

nież kobiety, którym wcześniej nie wolno było uprawiać tego sportu. Tak powstały podstawy współczesnej capoeiry, która od czasów Mestre została wzbogacona o nowe elementy.

Czym więc różni się ona od innych stylów? Przede wszystkim jest nie tylko sztuką walki, ale także grą. Podczas tzw. *roda* (dosł. 'okrąg') jej uczestnicy stoją w kole, klaszczą, śpiewają i grają na charakterystycznych instrumentach – *atabaque*, *pandeiro* i *berimbau*. W środku zaś dwie osoby przeprowadzają sparing.

Tutaj pojawia się jedna z ważniejszych różnic w stosunku do innych sztuk walki. Celem gry w *roda* nie jest pokonanie przeciwnika ani wyłonienie zwycięzcy. Z tego powodu przeważnie nie organizuje się zawodów. Celem capoeiry nie są osiągnięcia, lecz dobra zabawa. Sparingi polegają na „droczeniu się" i popisywaniu. Gra trwa tak długo, aż ktoś inny wejdzie do *roda* bądź capoeiristas po prostu się zmęczą. Sztuka ta bywa czasem porównywana mniej lub bardziej trafnie do walk kogutów. Warto tutaj wspomnieć, że dosłowne tłumaczenie słowa capoeira to 'drób'.

Zamiast zawodów częstymi wydarzeniami są warsztaty z udziałem brazylijskich instruktorów, w których biorą udział grupy z różnych miast. Służą one w dużej mierze nie tylko nauce nowych technik, lecz także stwarzają okazję do gry z capoeiristas z innych klubów. Jest to ciekawe doświadczenie ze względu na fakt, że trenując długo w jednej grupie, poznajemy styl gry jej członków. Wiemy, czy ktoś gra agresywnie, szybko czy wolno. Takie sparingi są bardziej nieprzewidywalne i rozwijające.

Istnieje w capoeirze pewien savoir-vivre. Do wszystkich, starszych czy młodszych, zwracamy się per „ty", przed wejściem do *roda* przybijamy piątkę i po wyjściu nie oceniamy, kto zagrał lepiej. Służy to tworzeniu luźnej, swobodnej atmosfery. Oczywiście, nie w każdym klubie tak jest.

Dla wielu osób z zewnątrz capoeiry wydaje się być jedynie tańcem, który tylko nazywa się sztuką walki. Owszem, składają się na nią również elementy akrobatyczne i ćwiczy się w rytm muzyki, ale podstawę stanowią kopnięcia i uniki. Choć wydaje się ona sportem mało kontaktowym, wykorzystuje też różnego rodzaju obalenia i podcięcia. Stanowczo więc nie można jej uznać za taniec.

Treningi capoeira nie są jednak kursami samoobrony, choćby ze względu na formę sparingów. Warto ją polecić osobom, którym zależy raczej na samodoskonaleniu się. Styl ten uczy takich rzeczy jak: koordynacja ruchowa, improwizacja (na niej polega przecież gra w *roda*), refleks, zwinność, utrzymywanie równowagi itp.

Capoeira jest dobrym sportem dla osób, które stawiają pasję ponad osiągnięcia, cenią sobie swobodną atmosferę, lecz jednocześnie nie boją się ciężkiej pracy. Jak w przypadku każdej sztuki walki, należy ćwiczyć regularnie i intensywnie. Inaczej nie będzie postępów. Stanowczo nie jest to sport dla tych, którym zależy na lekkiej rekreacji.

Karolina Zejfer

Here we go again!

Wielu przede mną zadawało sobie pytanie, czym jest kontynuacja chyba najbardziej rozpoznawalnego musicalu pod wdzięcznym tytułem "Mamma mia!". Czy jest zwyczajnym "odgrzewanym kotletem" zrobionym wyłącznie dla pieniędzy? Zrealizowaną na siłę produkcją z gwiazdami kina? Opinii jest wiele. Jaka jest moja?

Wakacje to okres, kiedy w kinach pojawiają się filmy mające na celu ni mniej, ni więcej jak dostarczenie rozrywki. W "Mamma mia! 2" ciekawa choreografia połączona z wpadającymi w ucho interpretacjami utworów kultowego zespołu ABBA, zaspokaja potrzeby estetyczne odbiorcy i daje dużo radości w najlepszy możliwy, niewymuszony sposób.

Sequel stwarza nam okazję do zapoznania się z perypetiami młodej Donny (Lily James), która skończywszy studia, szuka swojego miejsca w świecie. Na jej drodze w nietuzinkowy sposób pojawia się trzech młodych mężczyzn: Sam (Jeremy Irvine), Harry (Hugh Skinner) i Bill (Josh Dylan). Charyzmatyczni młodzi aktorzy dodają całości energii i z powodzeniem wcielają się w swoich starszych odpowiedników, których w filmie także nie zabraknie. Ol Parker, reżyser i scenarzysta, przeplata ze sobą dwa plany czasowe i robi to w sposób interesujący i nieprzeszkadzający w odbiorze.

Atutem "Mamma Mia!" bezsprzecznie jest muzyka, stanowiąca połowę filmu. Większość aktorów nie śpiewa profesjonalnie, a pewne niedociągnięcia są czasami słyszalne, ale właśnie to dodaje całej historii pewnej autentyczności i wyrazu. Powstrzymanie nóg wybijających rytm piosenek zespołu ABBA, cichego nucenia refrenów pod nosem oraz uśmiechu rysującego się szeroko na twarzy zdecydowanie przychodzi z wielkim trudem. Dodatkowym "smaczkiem" jest silny głos Cher, która dołączyła do obsady w roli Ruby Sheridan − przebojowej matki Donny.

Twórcy licznych teorii na temat zasadności powstania sequelu w swojej krytyce wymieniają niespójności z fabułą pierwszej części. Czy rzeczywiście powinniśmy się na tym skupiać? "Mamma mia! 2" nie niesie ze sobą cudownego morału, nie jest wypełniona skomplikowaną treścią, nie jest pożywką dla ludzi szukających intelektualnej rozrywki. Czym zatem jest? Filmem, który ma Cię rozbawić, zrelaksować i być przyjemnym w odbiorze. Tę funkcję spełnia wyśmienicie.

reżyser: Ol Parker
kraj produkcji: USA
data premiery:
w Polsce: 27.07.2018
na świecie: 11.07.2018

Źródło: Internet

Lidia Kępczyńska

Fokstrot

Akcja filmu rozgrywa się we współczesnym Izraelu. Poznajemy Jonathana i jego trzech przyjaciół ze służby granicznej. Ich posterunek mieści się na środku pustyni i najczęściej odwiedzającą ich osobą jest… wielbłąd. Zadanie żołnierzy polega na obronie przejścia i sprawdzaniu dokumentów wszystkich osób, które tamtędy przejeżdżają. Cała czwórka to młodzi mężczyźni, którzy zostali wysłani na służbę na koniec świata. Jednak to nie przeszkadza im w rozwijaniu swoich pasji. Głównym zajęciem Jonathana (poza patrolowaniem oczywiście) jest rysowanie komiksu przedstawiającego prawdziwą twarz jego ojca i wyjaśniającego, dlaczego zdecydował się ją ukrywać.

Jedną z zalet tego filmu jest świetnie dobrana muzyka, która oddaje klimat dzieła. Jednak wiele intensywnych zdarzeń rozgrywa się w zupełnej ciszy. Każde z nich pokazuje złożoność uczuć poszczególnych bohaterów. Warto również zwrócić uwagę na kompozycję scen. Każda z nich tworzona jest z zachowaniem zasad symetrii, trójpodziału. Dzięki temu zdecydowanie przyjemniej patrzy się na film.

Tytuł filmu wyjaśniony jest jako powrót do początku, ponieważ tańcząc fokstrota powracamy do naszej pierwszej pozycji. Reżyser chcąc to podkreślić, użył w pierwszej i ostatniej scenie tego samego nagrania, którym jest widok polnej drogi z perspektywy dachu jadącego samochodu.

„Fokstrot" zdecydowanie nie jest filmem dla wszystkich. Jest to produkcja, która wymaga łączenia faktów, rozumienia wyszukanych metafor i odczytywania symboli, ale przede wszystkim rozumienia ironii i upodobania w czarnym humorze. Konstrukcja fabuły ociera się o absurd. Celem tego zabiegu jest pokazanie bezsensowności wojny. Mimo trudnej formy film przedstawia uniwersalne i często zdarzające się sytuacje, np. rozpacz po stracie dziecka, życie z narzuconym przez innych schematem.

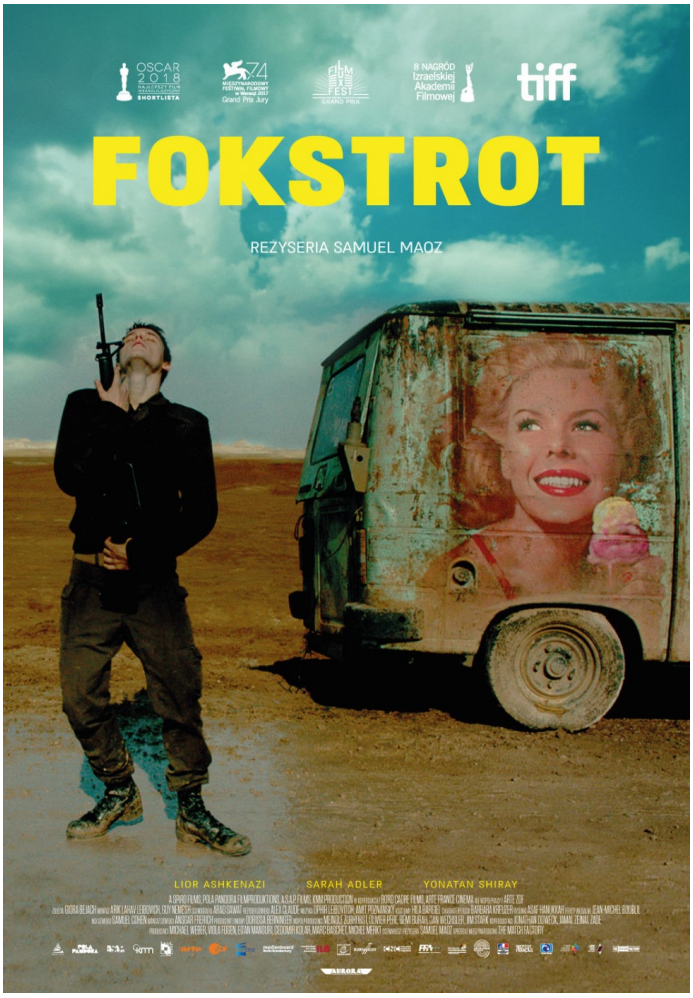

Źródło: Internet

Kadr z filmu; Lior Ashkenazi (Michael Feldman), Sarah Adler (Daphna Feldman)

reżyser: Samuel Maoz

kraj produkcji: Izrael, Szwajcaria, Francja, Niemcy

premiera:

- **28.08.2017 (świat)**
- **07.09.2018 (Polska)**

Ola Szynkora

„Nic co ludzkie nie jest im obce”

Kiedy kilka miesięcy temu na YouTube pojawił się zwiastun filmu „Kler” Wojciecha Smarzowskiego, w Internecie podniosła się wrzawa. Pokazane w zapowiedzi sceny przedstawiały upijających się, łamiących celibat i biorących łapówki księży, co zrodziło spore kontrowersje. Muszę przyznać, że była to świetna reklama. W dniu premiery na seans „Kleru” przyszły tłumy, które całkowicie zapełniły sale kinowe, a najlepsze miejsca zostały zarezerwowane z tygodniowym wyprzedzeniem. Obejrzawszy zwiastun, można było spodziewać się ironicznego filmu, który będzie wyśmiewał amoralne zachowania księży. Nic bardziej mylnego. Pomimo paru komicznych, czasem tragikomicznych scen, Smarzowski podchodzi to tematu poważnie. Kler to film raczej wstrząsający, ponury, czasem nawet psychodeliczny.

Opowiada on historie trzech księży − przyjaciół, którzy przed laty cudem przeżyli pożar kościoła i teraz świętują każdą rocznicę tego wydarzenia. Lisowski (Jacek Braciak) robi karierę w kurii i planuje wyjazd do Rzymu, lecz przeszkadza mu w tym arcybiskup Mordowicz (Janusz Gajos). Z kolei Trybus (Robert Więckiewicz) to wiejski proboszcz, alkoholik, pozostający w dość trudnych relacjach ze swoją kochanką (Joanna Kulig). Trzeci z księży, Kukuła (Arkadiusz Jakubik) zmaga się z traumatycznymi wspomnieniami z dzieciństwa i w trakcie filmu znacznie traci zaufanie parafian. Fabuła, choć wydaje się dość prosta, potrafi zaskoczyć, szczególnie w drugiej połowie filmu. Jednak początkowo akcja rozwija się dosyć wolno. „Kler” kładzie większy nacisk na kreowanie postaci i realiów niż budowanie napięcia.

Główni bohaterowie podejmują decyzje co najmniej wątpliwe moralnie, jeśli nie całkowicie nieetyczne. Mimo wszystko zostali pokazani jako ludzie, choć postawieni w ekstremalnych sytuacjach. Popełniają błędy wynikające ze zwykłych słabości czy bagażu traumatycznych przeżyć. Gdyby nie sutanny, nikt by nie powiedział, że to księża. Bohaterowie nie zostali więc pokazani w sposób czarno-biały, jednoznaczny. W miarę rozwoju fabuły dostają szansę na odkupienie win i korzystają z niej bądź nie. Moją uwagę zwróciły także postacie pojawiające się w tle. Młodzi księża w kurii, którzy prowadzą prozaiczne rozmowy, choćby o zajęciach sztuk walki, mało mają w sobie z poważnych duchownych.

Tu warto wspomnieć o grze aktorskiej. Fenomenalnie wypada Janusz Gajos jako arcybiskup Mordowicz, o przezwisku „Morda”, które mówi samo za siebie. Postać ta jest nieco komiczna, biorąc pod uwagę dysonans pomiędzy pełnionym przez nią wysokim stanowiskiem a jej prostactwem. Rodzi to wiele ironicznych scen.

Można zarzucić Smarzowskiemu, że nie pokazuje pozytywnych przykładów kapłanów i skupia się na tym, co w kościele złe. Uważam jednak, że kreowanie takich postaci mija się nieco z koncepcją filmu. Bohaterowie ci mogliby wypaść dość blado lub sztucznie.

„Kler” stanowczo nie jest filmem antyreligijnym. W ogóle nie dotyka kwestii wiary, nie krytykuje katolicyzmu jako wyznania. Ukazuje raczej mroczną stronę Kościoła jako instytucji. Trudno go jednak nazwać całkowicie realistycznym filmem. Pokazuje zachowania rzeczywiście obecne w Kościele, jednak prezentuje je w dużym stężeniu. Wiadomo, że tego typu sytuacje nie zdarzają się codziennie, w każdej parafii. Jednak obawiam się, że bezrefleksyjny widz, mógłby odnieść takie wrażenie.

Najbardziej wstrząsający w tym filmie jest problem pedofilii wśród księży. „Kler” pokazuje okropność tego zjawiska i jak temat ten bywa zamiatany pod dywan. Stanowi to swoisty apel społeczny, który, choć słuszny, jest mało subtelny i na zakończenie filmu staje się przesadzony, pretensjonalny, banalny w odbiorze.

Tu muszę zaznaczyć, że „Kler” nie odkrywa Ameryki. Nie mówi o nowych zjawiskach, o których nigdy nie słyszeliśmy. Problem pedofilii czy ingerencji Kościoła w sprawy państwa jest od dawna aktualny i dobrze nam znany. Można jednak uznać „Kler” za przełomowy nie ze względu na nowatorskie treści, lecz na bezpardonowe łamanie tabu. Niewiele filmów, zwłaszcza jeśli mówimy o polskim kinie, porusza problem niemoralności w Kościele.

Jeśli chodzi o wizualną stronę „Kleru”, to prezentuje się ona dość dobrze, choć nie wzbudza zachwytu. Szara, ponura kolorystyka tworzy mroczny, przygnębiający nastrój. Muzyki jest niewiele, dominuje cisza, co pogłębia przytłaczającą atmosferę. Klimat filmu oddają także bogata scenografia i kostiumy. Na początku filmu przeszkadzały mi urywane, chaotyczne ujęcia, które wybijały z imersji. Jednak po jakimś czasie przywykłam do nich.

Choć „Kler” nie wzbudził we mnie zachwytu, to uważam, że jest to film warty obejrzenia. Pomimo pewnego przerysowania, ciekawie, w sposób niejednoznaczny kreuje dobrze zagranych bohaterów. Nagłaśnia ważne problemy i skutecznie wstrząsa widzem. Może nie nazwałabym go arcydziełem, lecz dobrym filmem – już tak.

Zuzanna Sędziak

Ścieżka dydaktyczna „Bieszczadzkie kontrasty”

„Ja już wszędzie byłem! Ja wszystko widziałem!” – takie dramatyczne okrzyki może usłyszeć wędrowiec mijający na szlaku małe dzieci, zawzięcie broniące się przed koniecznością wspięcia się na kolejny bieszczadzki szczyt, którego zdobycie postawili sobie za cel ich rodzice. Cóż, jeżeli istnieje we wszechświecie jakiekolwiek miejsce odpowiednie do wypowiedzenia tych zuchwałych słów, z pewnością są nim Bieszczady.

Wędrówki przez leśne ostępy czy skąpane w promieniach słońca połoniny stwarzają wspaniałą okazję do podziwiania bieszczadzkiej przyrody w pełni jej dzikości i urody. Zachwycające widoki górskich grzbietów rozciągających się we wszystkich kierunkach, od stóp obserwatora aż po horyzont, wręcz proszą się o uwiecznienie na zdjęciach. Legendarne wschody i zachody słońca – przez wielu uznawane za najcudowniejsze na świecie – zajmują zasłużone miejsce na co drugiej pocztówce w sklepach z pamiątkami i dowodzą, że to właśnie światło najskuteczniej eksponuje piękno Bieszczadów. Jednakże spacerując po górach, piechur – bogatszy o kilkadziesiąt zdjęć tej samej ścieżynki lub drzewa oraz uboższy o kilka złotych wydanych na starannie wyselekcjonowane pocztówki – może doświadczyć także niezwykłego uczucia wolności, na chwilę rezygnując z zawrotnego tempa codziennego życia, i zakosztować odrobiny wieczności, z jaką obcuje się w samotności, na szlaku pozornie nieposiadającym końca; jednym słowem: ma on okazję przekonać się o pięknie ideologicznym Bieszczadów.

Fundament tego fascynującego zjawiska, dzięki któremu powstało wiele klimatycznych piosenek o Bieszczadach, śpiewanych przy ogniskach daleko poza granicami Beskidu Niskiego, udało mi się pojąć podczas wakacyjnego wyjazdu dwa lata temu. Do Torunia wróciłam ze wspaniałymi krajobrazami utrwalonymi w pamięci (i na ponad dwóch tysiącach zdjęć), głębokimi refleksjami filozoficznymi nad znaczeniem gór w życiu współczesnego człowieka oraz niezwykle silnym przekonaniem, iż udało mi się zgłębić najważniejszą tajemnicę Bieszczadów. Jednak tegoroczny wyjazd w góry uzmysłowił mi naiwność tego założenia oraz uświadomił, że w dzikich ostępach czekają jeszcze rzeczy, o których nie śniło się filozofom ani nawet najbardziej doświadczonym amatorom pieszych wycieczek, a także – iż nowe idee czają się za każdym zakrętem szlaku. Bieszczady, których urodę w wymiarze zarówno estetycznym, jak i ideologicznym miałam okazję wychwalać już dwa lata temu, odsłoniły przede mną trzeci aspekt swojego niezwykłego uroku – piękno dydaktyczne.

Fot. Zuzanna Sędziak

Fot. Zuzanna Sędziak

Pod tym enigmatycznym pojęciem nie kryje się bynajmniej wyraz głębokiego (a w zaistniałych okolicznościach – niepokojąco entuzjastycznego) uwielbienia wobec tabliczek z charakterystykami okazów flory i fauny, poustawianych wzdłuż wytyczonych na teranie Bieszczadzkiego Parku Narodowego ścieżek dydaktycznych. Nie odnosi się ono także do informacji praktycznych, jakie zdobyłam podczas wędrówek po górach, czyli na przykład wiedzy o tym, że – nieraz rekomendowane turystom – uciekanie przed niedźwiedziami w dół stoku nie jest możliwe ze względu na stopień nachylenia i zalesienia rzeczonych stoków, czy też – że nigdy nie należy ufać osobom schodzącym ze szczytu, kiedy mówią: „Spokojnie, został już tylko kawałeczek!", gdyż ich optymistyczne zapewnienia przeważnie wynikają po prostu z litości i nie mają żadnego związku z odległością faktycznie pozostającą umęczonemu wędrowcowi do pokonania. I chociaż pod żadnym pozorem nie śmiałabym kwestionować wartości użytkowej doświadczenia nabytego na szlakach, zaryzykuję stwierdzenie, że Bieszczady mogą udzielić miłośnikom spacerów po górach jeszcze kilku innych, cenniejszych lekcji.

Kontemplacja przyrody bieszczadzkiej dostarcza niezapomnianych wrażeń wizualnych oraz doznań duchowych, ale ponadto prowadzi do intrygującego wniosku dotyczącego relacji człowieka (a dokładnie: przemysłu turystycznego) z naturą. Mimo popularności Beskidu Niskiego, rosnącej z zatrważającą prędkością, oraz agresywnej ekspansji wszelkiej działalności hotelarsko-gastronomiczno-pamiątkowej, fauna i flora górskich terenów wydają się spoglądać na ludzką aktywność z przymrużeniem oka, a nawet – z uprzejmą pobłażliwością. Okazy roślinności, skrupulatnie opisane na tabliczkach informacyjnych przy szlakach, szybko rozprzestrzeniają się i mieszają z przedstawicielami innych gatunków, wybierając na swój obszar rezydencji miejsca zgoła inne niż te, które przewidziały dla nich władze Bieszczadzkiego Parku Narodowego podczas wytyczania ścieżek dydaktycznych. Słoneczniki, charakterystyczna ozdoba niemal każdego przydomowego pola, zwracają się w kierunku światła i zaskakują swoją obecnością w najbardziej niezwykłych miejscach, chociażby dwa metry nad ziemią, pomiędzy popękanymi dachówkami domów. Pełna subtelności swoboda i beztroska, z jakimi natura oswaja i infiltruje wszelkie wytwory cywilizacji, które na przestrzeni lat namnożyły się na podległym jej terenie, determinuje pełen uroku, specyficzny klimat Bieszczadów. Dodatkowego, ujmująco groteskowego wdzięku przydają mu także kuriozalne i niekiedy wprost komiczne poczynania turystów, wyraźnie kontrastujące z pełnym majestatu i rozsądku sposobem, w jaki przyroda wiedzie swój żywot na terenie gór. W Bieszczadach można bowiem spotkać na najtrudniejszych szlakach – dwie godziny drogi od najbliższego parkingu, postoju busów czy schroniska! – amatorów wspinaczek wędrujących w eleganckich butach lub sandałkach, bez plecaków czy chociażby

butelki wody. W pierwszym odruchu, kiedy napotyka się podobne indywidua (samemu dopiero co zakończywszy wyczerpującą wspinaczkę stromym stokiem), można bez trudu uznać je za przybyszy spoza Ziemi, którzy zaledwie przed chwilą opuścili pokład swojego statku tuż za pobliskim zakrętem ścieżki – w zaistniałych okolicznościach bardziej racjonalnego wytłumaczenia wprost nie sposób się doszukać. Innym zjawiskiem fascynującym, acz z pewnością noszącym znamiona naiwności i zgubnego optymizmu, są uśmiechnięte, emanujące entuzjazmem osoby, które uprzejmie pytają mijanych wędrowców: „Czy jesteśmy już na Tarnicy?" w momencie, gdy rzeczywisty cel ich wspinaczki to dopiero „szczyt tuż za przełęczą znajdującą się za tamtym wzniesieniem na horyzoncie".

Rzeczy, o których nie śniło się filozofom, a które czekają w głębinach bieszczadzkich lasów i na szczytach połonin, niezwykle intensywnie wpływają na światopogląd turysty, implikując zasadniczą zmianę w jego podejściu do życia. Doświadczywszy bliskości zjawisk o charakterze absurdalnym – w stężeniu znacznie przekraczającym dawki dopuszczalne dla umysłu przeciętnego współczesnego człowieka – powraca z gór wyposażony w zupełnie nowe pokłady pokory, dystansu wobec własnych zdolności poznawczych oraz – oczywiście – teorii spiskowych dotyczących przedstawicieli pozaziemskich cywilizacji. Ujmująca prostota, z jaką przyroda przeciwstawia się wszelkim porządkom zaprowadzanym przez człowieka, utwierdza w przekonaniu, iż pokonywanie granic to najświętsze prawo, które dyktuje sposób funkcjonowania górskim ekosystemom, jednocześnie czyniąc z Bieszczadów miejsce, dla którego żadne zjawisko nie jest zbyt nieprawdopodobne, żeby mogło mieć miejsce. Kiedy świeżo upieczony konwertyta na bieszczadzką filozofię „otwartości na wszystko, o czym nie śniło się filozofom", kończąc pieszą wycieczkę, widzi tabliczkę głoszącą: „UWAGA! NIEDŹWIEDZIE!" tuż przy wejściu na szlak, z którego dopiero co zszedł (przy oczywistym braku podobnej tabliczki na drugim końcu rzeczonego szlaku), nie dostrzega on w tym złośliwości losu czy też mało prawdopodobnego zbiegu okoliczności, a jedynie kolejną lekcję, której z pewną dozą ironii udzielają mu Bieszczady.

Bieszczady bowiem nie zachowują dla siebie całej mądrości, którą udało im się zgromadzić przez wszystkie lata swojego istnienia, lecz chętnie dzielą się nią z wędrowcami gotowymi zatrzymać się na chwilę w dziczy, aby oddać się kontemplacji przyrody. Siły górskiej natury subtelnie operują zjawiskiem kontrastu, unaoczniając człowiekowi jego przywary, ukazując niedorzeczności pewnych elementów życia, do których jesteśmy niezdrowo przywiązani, a w końcu także przekazując najważniejszą wartości kształtującą oblicze dzikiej krainy lasów i połonin – zdolność podchodzenia z dystansem i pewną dozą poczucia humoru do wszystkiego, co jest dla nas nietypowe, zaskakujące lub co po prostu wykracza poza znane nam kategorie pojmowania rzeczywistości. Fundamentem bieszczadzkiego piękna dydaktycznego jest przenikanie się dwóch różniących się od siebie światów – świata natury oraz świata ludzi – gdzie ten drugi może się jeszcze wiele nauczyć od pierwszego i prawdopodobnie nigdy nie zgłębi do końca wszystkich jego tajemnic.

Wśród wszystkich kontrastów najbardziej znaczący jest ten pomiędzy światem poza Beskidem Niskim, nieubłaganie pędzącym w zawrotnym tempie, a światłem wędrującym ze spokojem po stokach gór i rzucających na połoniny efemeryczne cienie bieszczadzkiej wieczności. W obliczu nieustannych zmian istnieje jedna jedyna rzecz, która z całą pewnością pozostanie taka sama: bieszczadzkie wschody i zachody słońca będą należeć do najpiękniejszych na świecie, a ich piękno zawsze będzie godne opiewania w felietonach, kontynuacjach felietonów oraz na niewielkiej powierzchni użytkowej pocztówek.

GiLA-my, nr 1 (28), listopad 2018

Opiekun gazety: Ilona Glatzel

Redaktor naczelna: Zuzanna Kuffel

Zespół redakcyjny: Lena Bojakowska, Magdalena Bródka, Lidia Kępczyńska, Stanisław Kostulski, Zuzanna Kuffel, Anna Lorek, Zofia Pieróg, Marta Rogulska, Zuzanna Sędziak, Martyna Sobczak, Patryk Szkuta, Karolina Zejfer

Opracowanie graficzne, skład i łamanie: Zuzanna Kuffel

Korekta: Zuzanna Sędziak

Okładka: Marta Rogulska

Kontakt: redakcja.gila@gmail.com